

Zmierzch i Świt – Początek Nowej Ery

Cisza nocy spoczywała na ziemiach Nelderim jak gruby, duszny całun, tłumiąc wszelkie dźwięki, jakby sama ziemia wstrzymywała oddech przed nadchodzącą burzą. Była to cisza zwodnicza, pełna napięcia. Niewypowiedziane myśli krążyły w mroku, wiły się jak węże w cieniu, sycząc ostrzeżenia przed tym, co miało nadejść. Dawne sojusze, budowane na kruchych fundamentach zaufania i wspólnych interesów, zaczynały pękać jak lód pod stopami nieuważnego wędrowca. Przysięgi, niegdyś składane w ogniu i krwi, rozбивały się teraz o zimne skały ambicji i strachu. Nadchodziła wojna, a jej zapach unosił się w powietrzu – woń stali, popiołu i krwi, której jeszcze nie przelano, ale której przeznaczenie było już zapisane w losie Nelderim. Świat miał się zmienić, choć jeszcze nikt nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób i czy owa zmiana nie okaże się początkiem jego ostatecznego końca.

Krasnoludy od wieków, a przynajmniej od końca Wielkiej Wojny zamieszkiwały miasta Jarlingów i Tamaelów. Wytwarzały i naprawiały ich oręż, dołączały do straży, rozwijały handel i wytwórstwo stali, a mimo to, nie mogły liczyć na zrozumienie. Przez lata Krasnoludy czekały. Czekały na znak, na gotowość ich gospodarzy, na wspólną wyprawę, która odbije to, co należało do nich. Ale czas mijał. Wtedy Krasnoludy postanowiły przemówić ostatni raz. Pod wodzą swego przywódcy, Gandila, udali się na spotkanie z Kanclerzem Geriadoru – Herugarem oraz Władcą Państwa Tasandorskiego – Griffithem. Ich słowa były proste, ich prośba oczywista – honor wymagał, by odzyskać Twierdzę, by przywrócić chwałę dawnym czasom, by walczyć ramię w ramię jak niegdyś. Odpowiedzi, które otrzymali, były jednak chłodne i pozbawione duszy. Wymijające spojrzenia, puste obietnice, subtelne kłamstwa utkane w dyplomatyczne słowa – zdrada nie przychodzi zawsze z ostrzem w dłoni. Czasem przychodzi w milczeniu. Krasnoludy czekały długo. Zbyt długo. Nie było już miejsca na wielkie narady, nie było więcej rozmów przy stołach, nie było posłańców, którzy wróciliby z dobrą nowiną. Był tylko gniew – potężny, wrzący, który powoli narastał, niczym lawa pulsująca pod skorupą wulkanu. Było rozczarowanie, tak głębokie, że zatruwało serca mocniej niż najgorsza trucizna. Wzięli więc sprawy w swoje ręce, liczna kompania odszukała wszystkie insygnia krasnoludzkiej władzy, a gdy nadszedł odpowiedni moment, dumni, pozbawieni wsparcia dotychczasowych sojuszników ruszyli na Twierdzę, symbol krasnoludzkiej potęgi.

Noc była cicha, ale nie była spokojna. Niebo, ciemne jak atrament, nie zdradzało swych tajemnic, a chłodny wiatr niósł echa czegoś, co jeszcze się nie wydarzyło, ale już wisiało w powietrzu – jak ostrze zawieszane nad karkiem skazańca. W obozie Krasnoludów nikt nie spał. Wojownicy siedzieli przy ogniu, ostrząc topory, sprawdzając pasy pancerzy, w milczeniu przygotowując się na nadchodzący bój. I wtedy się pojawili. Najpierw był tylko cień, ledwie wyczuwalna obecność na granicy rzeczywistości. Potem światło ognisk zatańczyło na czarnych, smukłych sylwetkach, których oczy błyszczały czerwienią niczym krwawe księżyce. Mroczne Elfy. Wysłannicy Matrony, której myśli przenikały przyszłość jak sztylet wbity w wątrobę. Ona jedna dostrzegła w gniewie Krasnoludów coś więcej niż rozpacz, więcej niż żal. Wyczuła nadchodzącą zmianę, dostrzegła siłę, którą można było pokierować. Nie z litości, nie z dobroci – lecz z pragmatyzmu. Z cienia wysunęła się dłoń, zimna jak kamień, a jednocześnie pewna i silna. Drowy nie przybyły jako prości sojusznicy – przybyły jako gracze w wielkiej grze, której reguły układały same. Oferowali Krasnoludom pomoc, ale nie za darmo. Ich ostrza, ich magia, ich cienie – wszystko to było na sprzedaż. Ceną była wiedza, której

brakowało Mrocznym Elfom – proces przetapiania nowoodkrytej rudy, metalu nieznanego i tajemniczego, który w rękach mistrzów kowalstwa mógł stać się orężem niespotykanym nigdzie wcześniej.

Doszło do krótkiej narady. Krasnoludy nie ufały nikomu, a już na pewno nie Drowom, których zdrada była tak pewna jak to, że dzień zamienia się w noc. Ale czas na ostrożność przeminął. Nie mogli odmówić, gdy ich twierdza czekała na odbicie. W ciemności spotkały się dwa spojrzenia – jedno, osadzone głęboko w krzaczastej brwi, drugie, błyszczące w półmroku jak oczy wilka. Nie padły żadne zbędne słowa. Jeden skiniony łysy łeb krasnoludzki. Jedno kiwnięcie drowiej dłoni. To wystarczyło, nie potrzebowali przyjaźni, potrzebowali siebie nawzajem.

Szturm na Twierdzę nastąpił w noc bez księżyca, gdy ciemność była ich sprzymierzeńcem, a cisza zwiastowała coś znacznie gorszego niż burza. Nie było wojennych trąb, nie było zwoływania do bitwy. Był tylko trzask stali o stal, gdy pierwsze tarany uderzyły w brame, niosąc się echem przez wąwóz niczym bicie wielkiego serca. Krasnoludy uderzyły z mocą gór, które nigdy nie poddają się burzy – z siłą, której nie znała ta ziemia od dziesięcioleci. Z ciemności dobył się głos, nie był to okrzyk bitewny, to była pieśń. Niska, wibrująca, wypowiedana gardłami dziesiątek wojowników, których przodkowie szeptali im do ucha, by walczyli do ostatniego tchu. Głos niósł się przez mury, uderzał w serca obrońców, wprawiał ich dłonie w drżenie, sprawiał, że ostrza wydawały się cięższe, a powietrze zimniejsze.

Wtedy nadeszły cienie. Mroczne Elfy nie walczyły w otwartym starciu. One były nocą, były wiatrem, były oddechem śmierci na karku nieświadomej ofiary. Wślizgnęły się do Twierdzy jak mgła, cicho, niepostrzeżenie. Gdy potwory, które okupowały mury, rzuciły się do obrony bramy, nie zauważyły, że ich przywódcy już dawno leżeli martwi – gardła przecięte jak u rzeźnych zwierząt, oczy szeroko otwarte, zastygłe w niemym przerażeniu. Wrota padły zwiastując nadejście rzezi, a w niej nie było litości. Gdy nastał świt, dym wciąż unosił się w powietrzu, a kamień, zbaczony krwią, wchłaniał jej zapach jak wilgotna ziemia po deszczu. Krasnoludy stały w murach Twierdzy patrząc na swoje odzyskane dziedzictwo. Drowy spoglądały na nich z cienia – milczące, jakby wciąż oceniające, czy ten sojusz nie stanie się kiedyś kolejną historią zdrady. A jednak na razie był to sojusz, który zmienił Nelderim. Świat miał się dowiedzieć o tym sojuszu i miał się go bać.

Wiść o powrocie Krasnoludów do murów swych przodków rozeszła się po świecie niczym płomień rzucony w suchy las. Nie był to już ten sam lud, który pokornie znosił lata odrzucenia i zapomnienia. Nie byli już gośćmi w cudzych miastach, nie byli rzemieślnikami pracującymi dla tych, którzy nigdy nie odpłacili im tą samą monetą. Byli wojownikami. Byli gniewem, który przeistoczył się w stal, byli hukem młotów, który odbijał się echem po odzyskanych kuźniach. I byli pamięcią. Pamięcią o zdradzie, której nigdy więcej nie zapomną. Ich triumf nie był jedynie odzyskaniem murów – był ogłoszeniem nowego porządku.

Wielcy tego świata – Jarlingowie, Tamaelowie i Elfy – spojrzeli na siebie, a w ich oczach kryła się niewypowiedziana obawa. Nelderim pękało na dwoje. Rozdarło pomiędzy tymi, którzy chcieli zatrzymać dawne rządy, a tymi, którzy postanowili wzniesć nową erę na fundamentach starego świata. Tak oto uformowały się dwa obozy. Po jednej stronie stali Jarlingowie, potomkowie mroźnej północy, nieustraszeni wojownicy, którzy nigdy nie schylali głów przed nikim. Elfy, długowieczne i dumne, których wiedza i magia mogły zaważyć na

losach każdej wojny. Tamaelowie, ci, którzy wciąż wierzyli w przysięgi, układy i równowagę sił. Po drugiej stronie stało to, co wyrzucono poza nawias – ale co powróciło silniejsze niż kiedykolwiek. Krasnoludy, odzyskawszy swą twierdzę, już nigdy więcej nie zamierzali ugiąć kolan. Mroczne Elfy, które nie szukały chwały ani honoru – szukały władzy, szukały przewagi, a sojusz z Krasnoludami dał im jedno i drugie. Tamaelowie, którzy dostrzegli zmianę wiatru, którzy bali się przyszłości w sojuszu z Jarlingami i Elfami, a w nowym układzie sił widzieli swoją szansę na przetrwanie. Linia została wyznaczona, nie było już miejsca na neutralność, każdy musiał wybrać stronę. Nie było już miejsca na dyplomację, było tylko czekanie na ten pierwszy ruch, na pierwszy atak, na pierwszą krew.

Wojna wybuchła prędzej, niż ktokolwiek się spodziewał. Nie było czasu na negocjacje, nie było miejsca na wahanie. Zachodni sojusz – Jarlingowie, Tamaelowie i Elfy – dowiedziawszy się o nowej stali wytwarzanej przez Krasnoludy, nie mogli dłużej zwlekać. Jeśli Krasnoludy miały czas, by uzbroić swoje wojska w tę nową broń, Nelderim mógł już nigdy nie wrócić do dawnego porządku. Trzeba było działać. Postanowili uderzyć pierwsi. By powstrzymać zbrojenia. Krasnoludy nie były głupie. Przewidziały ten ruch. Podziemne przejścia, które łączyły kopalnie Tasandory z krasnoludzką kuźnią, zostały wysadzone. Tunel za tunelem, kamień za kamieniem, każdy potencjalny szlak ataku zawalił się w gruzach, odcinając możliwość szybkiego zdobycia kluczowego przyczółka. Pozostały tylko dwa możliwe podejścia: główna brama, wyrzeźbiona w litej skale, prowadząca wprost do serca Twierdzy, lub Podmrok, gdzie czaiły się Drowy, gotowe do walki w cieniach, w labiryntach tuneli. Atak od górskiego przesmyku miał być ich przewagą, lecz stał się pułapką. Krasnoludy czekały. Pierwsze strzały przecięły powietrze, gdy tylko żołnierze zbliżyli się do bramy. Bezlitośni kusznicy, ukryci na półkach skalnych, siali spustoszenie w szeregach wroga. Ich bełty przeszywały pancerze, raniły tych, którzy mieli jeszcze chwilę temu zaśmiać się wojnie prosto w twarz. Następnie potem pojawiły się cienie. Mroczne Elfy nie walczyły otwarcie, one zabijały szybko, cicho, niemal z czułością. Nie było ich widać – jedynie błysk ostrza, moment, w którym czyjeś oczy rozszerzały się w niemym przerażeniu, sekundę przed tym, jak życie opuszczało ciało. Pojawiali się na ułamek chwili, dłoni owinięta w czerń przesuwająca się po gardle ofiary, a potem znikła jak cień pochłonięty przez dym. Nie była to walka, to była egzekucja. Resztki oddziału wycofały się w stronę Tasandory, meldując o klęsce. Ale wojna nie znała litości. Krasnoludy nie zamierzały czekać. Odwaga i gniew nie pozwalały im stać w miejscu.

Północne morza były zimne i wrogie, ale dla Krasnoludów i ich okrętów nie stanowiły przeszkody. W ciemnościach nocy, pod niebem przeszytym mrozem, flota wypłynęła z półwyspu Imloth, pozostawiając za sobą horyzont skąpany w ciemności. Płynęli cicho, bez świateł, bez wojennych rogów, bez bitewnych pieśni. Tym razem nie szukali chwały. Szukali krwi. Minęli Lotharn, widząc jego światła niknące za grzbietami fal, dopłynęli do Saew, gdzie woda Lodowej Zatoki przybrała barwę czerni. Tam, wśród lodowych brzegów, zeszli na ląd. Nie witali ich heroldowie. Nie było wiwatów. Było tylko milczenie zimowych gór i cichy chrzęst śniegu pod ciężkimi butami. Przeszli przez las, chowając się między drzewami, ich ciała spowijał cień, a oddechy zamieniały się w parę, która nikła natychmiast w gęstym powietrzu. Zatrzymali się dopiero na skraju Śnieżnej Przystani. Był świt, choć słońce jeszcze nie zdążyło wyjść zza linii gór. Mgła kładła się ciężkimi pasmami na zboczach, wypełniając doliny lodowatym powietrzem, a ziemia zdawała się milczeć, jakby wstrzymywała oddech przed tym, co miało nadejść. Śnieżna Przystań spała spokojnie, skryta pod płaszczem lodu i mrozu, nieświadoma, że to będzie ich ostatni sen.

Gandil stał w milczeniu, jakby sam świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jego decyzję. Jego dłoń uniosła się powoli, pewna i ciężka jak los, który spoczywał na jego barkach. Nie było odwrotu. Ogień pierwszy zatańczył na krańcach wioski, rozszedł się po słomianych dachach jak drapieжник, żywy, rozszałały. Wpełzał na ściany, pożerał belki, piał się po palisadzie jak języki pradawnego demona. Wtedy nadszedł pierwszy krzyk. Jarlingowie wyrwani ze snu sięgnęli po broń, ale było już za późno. Krasnoludy uderzyły niczym lawina, bezlitosne, niepowstrzymane. Szeroka linia tarcz runęła przez wąskie uliczki, ich impet zmiatał wszystko, co stało na drodze. Nie było czasu na strategię, nie było czasu na odwroty – była tylko walka, stal uderzająca o stal, ciała przecinane toporami i krew wsiąkająca w śnieg, barwiąc go na odcienie głębokiego szkarłatu. Jarlingowie walczyli jak bestie, nieustraszeni i dzicy. Ich topory rozcinały powietrze, rzucali się w wir walki z furją, której nie dało się powstrzymać. Przez chwilę, przez krótką chwilę wydawało się, że Krasnoludy zostaną odepchnięte, lecz wtedy nadeszły Drowy, ich klingi smukłe, ich kroki niesłyszalne, ich obecność niewyczuwalna – aż do momentu, gdy było za późno. Dowódca straży Śnieżnej Przystani poczuł coś zimnego na karku – nie był to podmuch mroźnego wiatru, a dotyk śmierci. Ledwie zdążył się obrócić, gdy ostrze wbiło się pod jego żebra. Nie było bólu – był tylko chłód i zapadająca cisza. Osunął się na kolana, a jego wzrok powędrował ku górze. Gdzieś tam, ponad dymem i płomieniami, gwiazdy błyszczały niezmiennie. Jakby nie obchodziło ich to, co działo się pod nimi. Jakby były czymś więcej niż wojną, którą toczyli ludzie. Może tak właśnie miało być? Może w tej jednej chwili zrozumiał coś, czego wcześniej nie dostrzegał? Uśmiechnął się lekko, nim zimno objęło go całkowicie. Nastąpiła cisza, Śnieżna Przystań płonąła.

Podczas gdy na północy ziemia drżała pod stopami wojowników, w Tasandorze zmiana przysłała inaczej. Nie było bitewnych rogów, zderzających się ostrzy. Były szept i złoto. Vox Populi nie uderzyło siłą. Oni nie musieli, kupowali lojalność, przekupywali strażę, sabotowali, uciszali po cichu tych, którzy mogli się sprzeciwić. A potem, gdy nadszedł dzień, Tasandora po prostu... zmieniła właścicieli. Nie było krzyku, nie było protestów, mieszczanie wyszli na ulice i zobaczyli nowych panów. To wszystko było już dawno ustalone, zaplanowane, rozpisane jak sztuka, której finał każdy znał, ale nikt nie miał odwagi wypowiedzieć go na głos. Tasandora należała do nich. Na najwyższych szczytach miasta zasiedli ludzie Kompanii Handlowej, stało się jasne, kto naprawdę sfinansował ten przewrót. Większość dóbr mieszkańców została wywłaszczona, ich majątki zniknęły w aktach własności, ich domy nie należały już do nich. Ci, którzy protestowali, nie protestowali długo. Nie było wyroków ani egzekucji, jedynie zniknięcia. Jedni uznali swoje miejsce, podporządkowali się, drudzy zaś, którzy nie chcieli, odeszli. Niektórzy uciekli do Lotharn i Garlan, szukając pomocy. Inni przyłączyli się do Tamaelów, którzy walczyli o sprawę Wschodniego Sojuszu. Tak zwany sojusz Zachodni odbił z rąk bestii Orod pozostawiając je pod władanie uchodźców z Tasandory, którzy zwani zostali Orodyjczykami. Przepelniona Tamaelami Twierdza, skłoniła Krasnoludów do odbudowy Tirassy lokując oddziały Tamaeli w strategicznym punkcie na mapie Nelderim, zwąc ich teraz Tirasyjczykami.

Świat Nelderim, rozdarty sojuszami i zdradami, wciąż tętnił życiem, choć jego harmonia została złamana jak ostrze, które pękło w bitwie. Nie było już dawnych porządków – były tylko dwa obozy, splecione w nierozzerwalnym uścisku wojny, której koniec nie był zapisany w żadnej księdze. Krew zmieszała się z ogniem, a popiół starego świata osiadł na ziemiach nowej ery. Era Nelderim właśnie się rozpoczęła – era zemsty, ognia i krwi. Era, w której nie było już miejsca na słabość.